

## Michał Gniadek-Zieliński: Z dziejów tanatofilii duchowej Polaków

Tanatofilia jest jakiegoś rodzaju ekstazą powiązaną ze śmiercią, w jakimś sensie duchowym wypełnieniem estetyki barokowej. Karol Stefan Frycz miał rację pisząc, że wyjątkowo dobrze się zestroiła polskość z barokiem. Na ile to jest uniwersalne, a na ile przebrzmiało już i nudne? Czy jeszcze dziś kochać Polskę to śmierć kochać? – pyta Michał Gniadek-Zieliński w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Temat: polskość”.

Polskę wymyślono w średniowieczu, więc zacznijmy od średniowiecza. I tak w wyobrażeniach tej epoki o świecie dominowała sakralizacja czy też – jak kto woli – fetyszyzacja początku. To właśnie tam, *in illo tempore*, w owym czasie, gdy wszystko się zaczęło, to i wszystko się skończyło. W początku bowiem „wszystko się stało, co się stało” i co się jeszcze stanie. „Jak było na początku, teraz i zawsze...”. Celna przeto scena z finałowego odcinka drugiego sezonu „1670”, gdzie błąd ortograficzny w „Akcje chrztu Polki” waży o nieistnieniu Polski... Bo to, co nie było, choćby i jest, nie pisze się w rejestr.

Pospołu zatem – czasowo – optykę ichniejszą przyjmując, a w narodowe jasełka wstąpiwszy, spróbujmy coś niecoś rozeznaczyć się w naszej tanatofilii duchowej, jak ją nazywam. Adolf Bocheński pisał o „tendencjach samobójczych narodu polskiego”, ale bardzo to było naznaczone pejoratywnie – zresztą, tu o coś większego idzie. Lecz żeby

od zera nie zaczynać, rozpocznę od tego samobójstwa, skoro ono naszym pierwszym narodowym mitem. A mieliśmy przecie zaczynać od początku. Lecz najprzód jeszcze dwa słowa.

Dojrzały romantyzm, który był *Słowiańszczyznę* Zoriana Dołęgi-Chodakowskiego wyegzorcyzmował, ukonstytuował przekonanie, że duch polski ukształtował się ostatecznie na trójstyku antyku, chrześcijaństwa i słowiańskości, która stanowiła komponent rodzimy. Podążając za tą myślą i w oparciu o tę triadę, spróbuję nakreślić krótko trzy podstawowe kroki radosnego korowodu narodowego *danse macabre*. A że Polonia jest przecież kobietą, raz matką, raz kochanką, to niech wolno mi będzie rzecz wyłożyć z jej trzema hipostazami obcując.

## Wanda

Na początku było samobójstwo. Lecz każdy początek ma zawsze swój własny początek. I w tym prapoczątku, była już Wanda, lecz pozornie to nie ona popełniła tam samobójstwo. Mowa tu naturalnie o Kadłubku, z którego my wszyscy. Nasza narodowa heroina, pierwsza personifikująca cały naród („stąd wszyscy podlegli jej władzy zostali nazwani Wandalami”) w opowieści Mistrza Wincentego nie skakała jeszcze do Wisły – przeciwnie, to na jej widok, rzucając nasię przekleństwo, własnym mieczem raczył się przebić „tyran Lemański”. Czyli on samobójca, nie Wanda? Wróć do tego.

Ostatecznie na początku XIV w. legendę Wandy jako samobójczyni, tej dzielnej dziewicy co „nie chciała Niemca” i za czym się do Wisły rzuciła „dla ojczyzny ratowania”, utrwalił na piśmie anonimowy autor *Kroniki wielkopolskiej*. W jego opowieści przestała już być pierwszą eponimą Polaków, bo wyprzedził ją świeżo wynaleziony (przynajmniej dla literatury) praojciec Lech, lecz zachowała swoją aksjologiczną funkcję.

Wanda pozostała pramatką Polaków, jakby samą Matką-Polską, którą to jej rolę utrwalił na wieki Długosz. Polska, Matka i Wolność złąły się w jedno w dziewczynie, co zabiła się wiedząc, że póki żyć będzie, może być zgubą ojczyzny – bo komu rękę swą odda ten zostanie w przyszłości tyranem Polaków. Ta triada Polska, Matka, Wolność jednym tchem będzie wykrzykiwana na wszystkich sejmach i sejmikach aż do upadku Rzeczypospolitej – za tą czy inną sprawą.

### **Przeczytaj także tygodnik: Mochnacki. Polskość jako zobowiązanie**

„Słodko i zaszczytnie umrzeć za ojczyznę” to hasło nadrzędne nowożytnego Miłośnika Ojczyzny. Szukać daleko nie trzeba, "target="\_blank">wystarczy wrócić do Kochanowskiego. Lecz w jego pisaniu, nawet i w czasach jego, idea ta zamykała się jeszcze w humanistycznej figurze Cyncynata, ziemianina-rycerza, a jej sensem było wyrażenie maksymalizmu troski obywatela o ojczyznę. Od połowy XVII w. widoczna jest jednak wiktyimizacja idei, która coraz częściej nabiera cech ofiarniczych, zyskując na sakralizacji po ostatecznym utożsamieniu z Polską-Matką-Wolnością nikogo innego jak Maryi. „Nie mieszam się do wszystkich świętych z litaniji, / Lecz nie dozwolę bluźnić imienia Maryji” – powie podsumowując tę sprawę Mickiewiczowski Gustaw-Konrad. Ostatecznymi „znakami ofiarniczymi”, mówiąc René Girardem, naznaczyli się w swym lirycznym samoopisie konfederaci barscy – ulubieńcy romantyków.

Ci ostatni stworzyli wreszcie model Polaka jako „altruistycznego samobójcy”, nawiązując do terminu Stefana Chwina. Miłość ojczyzny przerodziła się w miłość śmierci, bo za ofiarą szło oczyszczenie i odkupienie, za Polakiem-samobójcą zaś wolność ojczyzny. Przeto idą przez kolejne tomy polskiej literatury Rejtany, Ordony, Wallenrody,

Konrady, Kordiany... Swą wzorcotwórczą siłą ciągną zaś za sobą całe pokolenia powstańcze – może nawet do „Ostatniego Pokolenia” włącznie. Trudno bowiem odmówić współczesnym aktywistom ekologicznym tanatycznego szału ofiarniczego. A wszystko zostało już przecie zapisane w opowieści Kadłubka.

Wanda zdecydowała się tam na najtrudniejszą metodę samobójczą... życie. „Umrzeć dla świata”, wyrzec się siebie w posłudze innym – to hasło naczelne chrześcijańskiego monastycyzmu. Sam Kadłubek żywota swego dokonał postępując za tą maksymą, wstępując ostatecznie do jędrzejowskiego konwentu cystersów. Wanda swą paradoksalnością bardziej przypominała jednak franciszkanina, który porzuca świat pozostając w tym świecie. Wedle opowieści Mistrza Wincentego, królowa w trosce o dobro wspólnoty wyrzekła się siebie i świata, rezygnując ze swej kobiecości – z macierzyństwa. Bo jako kobieta mogła przynieść narodowi zgubę, a tylko jako „mężczyzna”, mogła mu służyć. Wanda umarła więc jeszcze za życia, co prowadzi nas do kolejnego wątku – żywego trupa.

## Strzyga

„Stańmy jako upiorów gromada” – wzywa rodaków po upadku powstania styczniowego tzw. *Pieśń akademików warszawskich*, wkrótce zaadoptowana przez PPS. Lecz w tym wezwaniu może akcent położony był raczej na „gromadę” niżli „upiory”? Upioryczność polskości zdawała się być po prostu faktem.

W 1750 r. papież Benedykt XIV stwierdził, że „niewątpliwie panuje w Polsce wielka wolność, która daje [...] prawo chodzić po śmierci”. Wiara w upioryzm rozwijała się nad Wisłą przypuszczalnie od czasów

przedchrześcijańskich po dwudziestolecie międzywojenne najmniej. Jeszcze w 1933 r. gazety donosiły, że w sąsiedniej wiosce względem mego obecnego położenia, we Wiązownej pod Warszawą, chłop babę z grobu wykopał, bo przychodziła go po zmroku straszyć. Lecz sprawę zostawiam, bo niedawnymi czasy stała się ona bardzo modna, a to za sprawą publikacji książki Łukasza Kozaka. Stwierdził ów, że opowieść o upiorze/strzydze/wieszczym to prawdopodobnie jedyny zachowany mit słowiański. I coś w tym jest, pomimo że przedchrześcijańska rodzimość konceptu budzi moje poważne wątpliwości. Dość wspomnieć, że najstarsze źródło pochodzi z XVI w., wyobrażenia zdradzają duże wpływy demonologii chrześcijańskiej, a termin strzyga pochodzi od łac. *striga*, czyli wiedźma. Najmocniejsze jednak na koniec – przedchrześcijańska praktyka ciało palna raczej uniemożliwiała trupom chodzenie...

Tym niemniej, już w czasach nowożytnych ludyczność wierzenia i jego rozpowszechnienie jest już czymś pewnym. Lecz najważniejsze co innego – to, że romantycy wierzyli w jego rodzimość i starożytność, tworząc mit Polski-Strzygi

W „niby to prologu” do *Dziadów*, Mickiewicz upiorem definiuje Gustawa-Konrada, a przez niego oczywiście polskość. „O Polsko, święty upiorze!” powiada Mickiewicz w *Legionie* Wyspiańskiego. Historia naznacza polskość upiorycznością – morduje ją, lecz nie do końca. Tak więc afekt do Polski realnej musi być miłowaniem Polski-Strzygi, tej jedynej, która żyje i działa – „Stwora tego św. Ciemnego, co od wieków zdycha a zdechnąć nie może”, mówiąc Gombrowiczem. Upioryzm jest szczepionką na melancholię, to „Polacy, nic się nie stało” i „kiedy my żyjemy”, upioryzm to w przypadku polskim działanie w niebycie, zamiast w nim trwanie – robienie Polski, zamiast czekania na nią.

**Przeczytaj także: Piotr Nowak: Akcent typowo polski  
(fragment)**

Już sam dyskurs wieszczowski, jakże polski przecież, jest z definicji i z ducha upioryczny. W 1911 r. Jan Karłowicz stwierdził w swym *Słowniku gwar polskich*, że wieszcz to „człowiek, który po śmierci ma zostać upiorem, człowiek w czepku się rodzący”. Nie będzie to błędem retrospektywy, gdy powiem, że z powodzeniem można tę definicję odnieść do połowy XIX w. i dalej. Są na to świadectwa, warto zajrzeć do książki Kozaka i wcześniejszych etnografów. Przeto gdy 3 maja 1842 r., podczas swego przemówienia do paryskiej emigracji mówił Mickiewicz, by go wieszczem nazywać i by sami zgromadzeni wieszczami byli, do tej definicji niewątpliwie się odnosił. Wieszczem miał być, bo żywym trupem – chodzącym, czyli kształtującym rzeczywistość po swej śmierci; takim życiem żyjącym dla wspólnoty, by jeszcze długo być jej drogowskazem. „Gdy tu mój trup pośrodku was zasiada...” – pisał Mickiewicz. Czy zatem Jerzy Giedroyc mówiąc o „dwóch trumnach rządzących polską” wpisywał Piłsudskiego i Dmowskiego w ten upioryczny kontekst? Pewnie niechętny, ale jednak z pewnością.

Pierwszemu to zresztą by schlebiało, ale drugi należał do tych, co w tym kraju raczej walczyli z upiorami – tak jak Wyspiański, mocując się z Gustawem-Konradem i Polską-Strzygą. Lecz czy te wszystkie trupy wróciły wreszcie do grobów? No przecież nie. Ulubionym tematem zastępczym Polaków jest przecież historia, o nią w pierwszej kolejności lubimy się pokłócić, w niej częściej niż ktokolwiek inny poszukujemy siebie. Bynajmniej może temat ów nie zastępczym jest, jedno przewodnim. My po prostu kochamy trupy.

# Antygona

Jan Długosz, opisując kraj ojczysty, w ponadczasowe trendy się wpisując, postanowił ciekawskiego czytelnika uraczyć kilkoma regionalnymi osobliwościami. I tak w pierwszym rzędzie wymienił, że Matka Polska garnki rodzi, „kształtów rozmaitych, podobne do tych, jakie ludziom służą do domowego użycia”.

Cóż te garnki? Popielicowe urny najpewniej. Przecie ze wszystkich elementów dawnego obrządku, najtrudniej było Kościołowi wypłenić w Polsce (i na Słowiańszczyźnie) bez wątpienia ciałopalenie. Są papiery, że na Wschodnim Mazowszu i Podlasiu jeszcze w XIV w. wsie wędrowały żegnać zmarłych do lasów, notorycznie unikając cmentarza, ku rozpaczcy bezsilnych proboszczów. Wreszcie, przecie nie przypadek, że narodowy epos nie-epos, którego istotą ukazać naród jako „świętych obcowanie” nosi tytuł *Dziady*, nawiązując symboliką i treścią do zadusznego, ludycznego obrzędu.

W rozmaitych relacjach podróżników po dawnej Rzeczypospolitej pojawia się sprawa wyjątkowego nabożeństwa jej mieszkańców do swoich przodków. Rzecz dość uniwersalna, lecz mająca w Europie Środkowo-Wschodniej dłużej niż w wielu innych miejscach swój wymiar kultowy – palenie ogniów na mogiłach jest przecieź symbolem sakralizacji relacji żywych do zmarłych. I czasy niby inne, a jakby takie same – tradycja pomimo zawrotnego tempa laicyzacji Polaków wykazuje zaskakującą żywotność. A już od Wyspiańskiego wiadomo, że „Listopad to dla Polski niebezpieczna pora”, bo to „pora, gdy idą między żywych duchy”.

Cała kultura polityczna dawnej Polski – nie to, że tylko jej, ale okresowo silniej jej niż krajów innych – opierała się na naśladowaniu przodków, utrzymaniu ich dziedzictwa nienaruszonym, trwaniu przy prawach przez nich ustanowionych, kultywowaniu ich obyczaju. Tak to Polską rządziły nie dwie trumny, a miliony mogił.

Rozwijanie się mesjanizmu w późnym baroku, a potem jego ostateczne ukształtowanie w romantyzmie, stworzyło już z mogiły Polaka metaforę narodu, mikrokosmos polski. Nie jest przypadkiem, że już w romantyzmie zwrócono uwagę, że najbardziej rodzimym upamiętnieniem herosów jest usypywanie im monumentalnych kurhanów, by zmarli górować mogli nad żywymi. Chrześcijańska idea „w śmierci równi”, tak podkreślana w baroku, pomimo pogłębiającego się po Potopie separatyzmu klasowego, staje się w czasach niewoli antycypacją wszechstanowego zjednoczenia – nowej polskości. To na takiej mogile siedząc, czy też wokół niej krążąc, społecznej refleksji doświadcza Justyna w *Nad Niemnem* Orzeszkowej. „A Ty o drogi cieniu! – przybywaj w twe kraje, Cała nieszczęsna Polska twym grobem się staje” – pisał w 1814 r. anonimowy autor *Wiersza na wprowadzenie zwłok Xęcia Józefa Poniatowskiego*. Święte szczątki narodowych męczenników leczą bowiem naród.

Szybko zawracamy do średniowiecza. W połowie XIII w. Wincenty z Kielc tworzy ze św. Stanisława już nie tylko atletę Chrystusowego, ale i męczennika sprawy polskiej, którego śmierć staje się narodową przepowiednią – Królestwo upadnie, lecz gdy Polacy przejrzą na oczy, jego rozerwane szczątki połączą się tak, jak zeszło się poćwiartowane ciało Stanisława. Nie dziwota z mocy tej legendy, skoro profetyczna wizja doszła do skutku w kilkadziesiąt lat później. Sam biskup, ongi

królowi się sprzeciwiający, zyskał zaś wkrótce rangę świętego patrona Złotej Wolności, obywatelskiego nieposłuszeństwa i ustroju – Rzeczypospolitej. W międzywojniu podobną rangą został obdarzony Andrzej Bobola, którego uważano za współpatrona (obok Maryi naturalnie) tryumfu pod Warszawą w 1920 roku, a zarazem patrona prometeizmu i walki z bolszewizmem. Siła tego wyobrażenia sprawiła, że rozprawić się ze zwłokami misjonarza postanowili bolszewicy, lecz ostatecznie bez skutku. W 1923 r. staraniem Watykanu znalazły się w Wiecznym Mieście, skąd w 1938 r. pojechały do Polski. Cóż to była za feta, nie tylko kościelna, ale i narodowo-państwowa. Sam prezydent Mościcki składał na piersi męczennika swój Krzyż Niepodległości... Bobola, zamordowany i kilkakrotnie zgubiony, męczony po śmierci tak jak i za życia stał się dla współczesnych personifikacją polskości, a jego spokojne złożenie do grobu w Warszawie miało wreszcie symbolicznie domknąć niepodległość i zatrzymać spiralę przemocy. Jak się okazało – nie na długo...

W sprawie Boboli Polska objawia swoje kolejne oblicze, Antygony. Należyty pochówek synów staje się dla niej świętym obowiązkiem. Stąd te wszystkie pośmiertne peregrynacje na ojczyzny łono Poniatowskich, Kościuszków, Mickiewiczów i Słowackich, wreszcie kilka lat temu Mochnackiego Oczywiście podobne historie znamy skądinąd, jednak w Polsce wyostrzają się szczególnie. Już samo przeistoczenie Wawelu z nekropolii królewskiej w narodową jest wyjątkowe. Przez swą bogatą kolekcję relikwii staje się Wawel, niczym kaplica Karola Wielkiego w Akwizgranie, miejscem o szczególnej mocy. Polskie akropolis Wyspiańskiego, a dla polskich ezoteryków XIX i XX w. potężny czakram, chroniący całą Polskę. Z tych powodów Szukalski właśnie tam chciał umieścić Duchtynię, czyli świątynię kultu polskości.

**Przeczytaj także tygodnik: Rymkiewicz. Polskość, arcytemat**

Dla dwudziestolecia, drugim takim miejscem stawał się jeszcze Grób Nieznanego Żołnierza w Warszawie. Idea podpatrzona u Francuzów nie mogła długo nie pojawić się nad Wisłą, zbyt dobrze pasowała do miejscowego narodowego światopoglądu. Tworzone w mistycznym rytuale, przesycone symboliką martyrologiczną miejsce pamięci, stało się egalitarystyczną przeciw wagą dla elitarystycznego Wawelu – tam hołd wodzom, tu anonimowemu masom. Podczas kazania ks. prał. Antoni Szlagowski grzmiał: „I szukałem imienia dla ciebie: wielkiemu wielkie imię przystoi. Zów się tedy Bolesław Wielki, on Polskę całą wziął w pierś swą mocarną. Aż ci nie dosyć? [...] Czymże na Boga jesteś, szary żołnierzu [...]? [...] Ty jesteś odwieczny geniusz bojowy Narodu, zowiesz się Męstwo, [...] zowiesz się Poświęcenie, [...] zowiesz się Wolność”. Prawdziwy to cud, że z całego Pałacu Saskiego ocalał po powstaniu warszawskim ten jeden punkt – Grób Nieznanego Żołnierza...

Bo z grobami się walczy w pierwszej kolejności, bo upiory gorsze są niż żywe ludzie. W 1833 r. na obrzeżach ówczesnej Warszawy powieszono konspiratora polistopadowego Artura Zawiszę i zakopano pod szubienicą. Natychmiast naród otoczył Wisielca kultem i zaczął na grób znosić kwiaty – więc Rosjanie rychło zrównali mogiłę z gruntem...

Stąd też po drugiej wojnie światowej tak wielkim bólem była dla Polaków sprawa Katynia i ekshumacji szczątków z tamtejszych masowych grobów, która wreszcie mogąc się zmaterializować w latach 90. ubiegłego wieku, stała się jednym z kluczowych zagadnień stosunków dyplomatycznych między Polską i Rosją. Taki wymiar ma też sprawa pochówku mordowanych po 1945 r. żołnierzy podziemia niepodległościowego, która po Katyniu stała się kolejną idée fixe

polskiego życia publicznego. Wreszcie zagadnienia tego dotyczą cmentarze żołnierzy radzieckich w Polsce, będące od czasu do czasu obiektem przemocy, a których wielu i dziś chciałoby się pozbyć jako kłopotliwego narzędzia rosyjskiej polityki zagranicznej

Polska ma jednak twarz Antygony także i z tego powodu, że wierzy często silniej w prawo boskie niż ludzkie, a przynajmniej w etykę bardziej niż w politykę. I nieważne, że często to tylko pusta frazeologia. Cyniczni patriotyczni pieniacze doskonale wiedzą, że do Polaków tak trzeba mówić, że oni tym żyją. I dlatego wciąż podnoszony jest głos w sprawie Wołynia, dla wielu przecież absurdalny. Tu wojna, Rosja, wróg odwieczny napada, Ukraina w ogniu to trzeba współdziałać... i nagle ktoś się Reytanem rzuca i krzyczy: Wołyń! Sprawa do pojęcia wyłącznie w perspektywie narodowej tanatofilii, pielęgnowanej przez pokolenia.

\*

Czy byliśmy, jesteście na nią skazani? Czy Polska ma oblicze Ananke? Tę drogę wybrał ostatnio Jan Maciejewski w swej książce *Nic to! Dlaczego historia Polski musi się powtarzać?* Na skróty to jednak ścieżka, w której wszystko łatwo pasuje do tezy, gdy się odpowiednio rzeczy ułoży. Fatalistyczne odczytanie polskiego romantyzmu wydaje się zaś dość prymitywne, trącające humorem zeszytów szkolnych. Polska nie musi płonąć jako stos ofiarny, nie takie jest przesłanie romantyków. Doświadczenie nie jest permanentne, lecz ożywcze – i trupy wstają. Nie sprowadzajmy też wszystkiego do polityki, do jakiegoś „wiecznego Grunwaldu”, a już zwłaszcza do modnych koncepcji antropologicznych (wspomniany Girard). Nie tkwijmy wreszcie w antyczno-średniowiecznym paradygmacie wiecznego początku. Już w

średniowieczu trwały teologiczne walki by go przewyciężyć... A wracając do książki – cóż, rzecz normalna i oczyszczająca: każde pokolenie musi mieć swoje *Dzieje głupoty w Polsce* i swego Aleksandra Bocheńskiego (że powrócę do rodziny, od której zacząłem), który wyjdzie i powie, że całe Polski dzieje nic nie warte.

A najbliższej prawdy jest przecież klasyczny historyk ze swym hasłem nadrzędnym: to zależy. Nie relatywizuję, po prostu badając definiowanie polskości człowiek łatwo się uczula na wszystkich, którym się wydaje, że odnaleźli do niej uniwersalny klucz. Tę moją luźną gawędę też można przecież zarzucić kontrargumentami – i słusznie. Nie piszę tu jednak wyroków, lecz upraszam łaskawego Czytelnika by zechciał pomyśleć chwilę nad tym zaskakująco licznym nagromadzeniem wątków tanatycznych w Polaków refleksji nad samymi sobą.

Tanatofilia jest jakiegoś rodzaju ekstazą powiązaną ze śmiercią, pobudzeniem śmiercią w różny sposób wywołanym. Jest więc w jakimś sensie duchowym wypełnieniem estetyki barokowej, zwłaszcza literatury epitafornej, w której zmarły zwykle motywuje przechodnia, by raczył pomyśleć o śmierci, a o sobie przez śmierć ową pomyślawszy, co dobrego dla duszy swej i innych zrobił. W tym sensie Karol Stefan Frycz miał rację pisząc, że wyjątkowo dobrze się zestroiła polskość z barokiem. Na ile to jest uniwersalne, a na ile przebrzmiałe już i nudne? Czy jeszcze dziś kochać Polskę to śmierć kochać? Chyba jednak tak.

Każde pokolenie definiuje siebie przez kontestację poprzedników, ale trudno jest budować wspólnotę na surowym korzeniu. Niejedna rewolucja zdołała się już o tę prawdę potknąć. Do lat 80. ubiegłego

wieku doświadczenie romantyków było Polakom bez wątpienia bliższe, bo i śmierć miała nie tylko indywidualny, ale bardziej narodowy charakter. Pandemia COVID-19 była zjawiskiem globalnym, więc nie stworzyła mitu umierania narodowego. Śmierć staje się zatem coraz bardziej doświadczeniem osobistym, ktoś mógłby rzec: normalnym. Martyrologia przeto wyłącznie śmieszna, ale i to już mało kogo. Przede wszystkim bowiem nudzi – bez silnej akcji, nie ma przecież i reakcji.

A jednak, jeżeli zgodzimy się, że polskość jaką znamy, pomimo całego swego wiekowego podkładu, zrodziła się pod piórem romantycznej poezji, to nie możemy odciąć się od jej komponentu, jakkolwiek by on nie był. A czy jest jej jakiś bardziej uniwersalne oblicze niż to tanatyczne? Poezja ta tkwiła w pierścieniu śmierci, który to zresztą pierścień na rozmaite sposoby chciała przełamać. Bo podszyta chrystianizmem wiedziała, że gdzie śmierć, tam i życie. A upiór po to drepce po śmierci, żeby dla wszystkich było to jasne.

*Michał Gniadek-Zieliński*

**Wszystkie artykuły z „Teologii Politycznej Co Tydzień”  
[501]: „Temat: polskość”**

Michał Gniadek-Zieliński – doktorant na Wydziale Historii Uniwersytetu Warszawskiego, kierownik projektu „Polskość – dziesięć wieków definiowania narodu” i redaktor pięciu tomów studiów, które w ramach serii pod tym samym tytułem ukażą się w końcu tego roku.

*Publikacja dofinansowana ze środków budżetu państwa w ramach programu Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego pod nazwą „Nauka dla Społeczeństwa II” nr projektu NdS-II/SP/0024/2023/01, kwota dofinansowania: 1 444 030 zł, całkowita wartość projektu: 1 444 030 zł. Więcej o projekcie „Polskość - dziesięć wieków definiowania narodu” na stronie [www.polskosc.edu.pl](http://www.polskosc.edu.pl).*

Ilustracja: Jacek Malczewski, *Thanatos*, 1898-1899, olej na płótnie. 45 x 57,5 cm, Muzeum Narodowe w Warszawie

